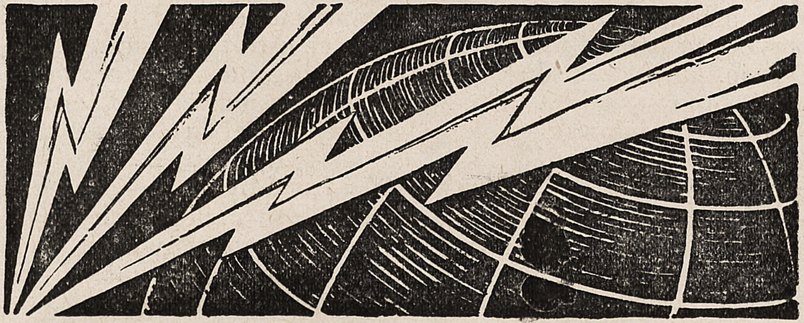
Cena 10 gr. Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

BŁYSKI WOLNOMYŚLICIELSKIE



ROK 4 WARSZAWA — 1936 — 15 MAJA Nr. 11

DWUTYGODNIK

TREŚĆ:

Prawda o Konstytucji 3-go maja

Pomimo szumnych obchodów dla upamiętnienia historycznej daty Konstytucji z roku 1791, mało kto zdaje sobie sprawę z jej istotnego znaczenia i treści. Można nawet podkreślić, że owe patrjotyczne obchody przyczyniają się raczej do zaciemnienia prawdy historycznej, bo dość często wyzyskuje się je dla celów politycznych i klerykalnych. Właściwie w dniu trzecim maja, rok rocznie, wbija się w głowy obywateli frazesy o solidarności narodowej, o bohaterstwie narodowem, o tradycji narodowej, słowem, legendy, zaciemniające świadomość ludzi pracy, usiłujące przytępić ostrze antagonizmów społecznych. Dzień 3-ci maja, ze względu na okoliczności kalendarzowe, usiłuje rywalizować z dniem 1-ym maja, dzięki czemu jeszcze jaskrawiej występuje klasowe oblicze „ogólno-narodowego" święta.

Czem była istotnie owa osławiona Konstytucja 3-go maja? Co dała i jakim warstwom społecznym? Czy zasługuje

na wdzięczną pamięć nietylko burżuazji, ale także ludu pracującego? Na te pytania daje nam odpowiedź historja.

W drugiej połowie 18 wieku Polska, osaczona ze wszech stron przez trzy potęgi militarno-zaborcze, coraz wyraźniej, coraz szybciej chyliła się do upadku państwowego. Polska stała nierządem, mawiano, i rzeczywiście nierząd był główną przyczyną smutnego stanu rzeczy. Jej ustrój polityczny przeżył się, zniweczał, skazywał kraj na bezsilność wobec chciwych łupu sąsiadów. Działo się to za panowania Stanisława Augusta Poniatowskiego, który obrany został królem na żądanie Katarzyny II.

„Król Stanisław August Poniatowski był typowym przedstawicielem arystokracji polskiej. Pełen najlepszych chęci i zamiarów, opiekun nauki, zwolennik uprzemysłowienia kraju, biorący w tem przedsięwzięciu najczynniejszy udział, był z drugiej strony sybarytą, nienasyconym użycia, żądnym blasków zewnętrznych, utracjuszem. Długi jego osobiste wzrastały stale, uzależniały go wewnątrz i zewnątrz kraju od bankierów, osłabiały i tak nie energiczną naturę jego. Chwiejny i słaby, poniżał się do tego, że brał pensję od Rosji: stał się jej największym żołdakiem. Brak wiary społecznej, wielki giest, a mała dusza, oto najistotniejsze rysy tego umysłowo zdolnego a moralnie upadłego człowieka. Wobec przywiązania szlachty do tradycji królewskiej stawał się on groźną siłą w życiu publicznem, tem groźniejszą, że zawsze nieobliczalną. Nie wiadomo nigdy było, czy przeważy w królu konserwatysta, czy patrjota, najemnik carowej, czy wyznawca Woltera“ [1]).

Szlachta w Polsce była warstwą liczną, daleko liczniejszą, niż w innych krajach; rządziła w niej wyłącznie i niepodzielnie, uciskając i wyzyskując inne warstwy społeczeństwa, szczególnie—chłopów. Chłopi swoją pracą pańszczyźnianą żywić musieli mnóstwo darmozjadów szlacheckich, których potrzeby zbytkowe rosły coraz bardziej.

Pańszczyzna była normalnym stanem rzeczy wszędzie, była główną podstawą gospodarki rolnej. Im bardziej wzrastał wywóz zboża zagranicę, tem większa była darmowa robocizna chłopska. Obszarnik chciał załatwiać wszystko przy pomocy tej przymusowej pracy, stąd wszelka wolna praca miała zbyt małą wartość. Ażeby móc zarobić tyle, ile kosztuje dany towar, trzeba było chłopu pracować: na korzec żyta — 24 dni, na korzec pszenicy — 32 dni, na korzec grochu — 24 dni i t. d. W takich warunkach musiał żyć nasz chłop. Nic dziwnego, że był on, jako poddany szlachecki, apatycznym, leniwym, skłonnym do pijaństwa, brudnym, że dom jego nazywano „domem zarazy“. I dlatego właśnie włościaństwo polskie, uciemiężone i pogrążone w bierności pańszczyźnianej, zgoła obojętne było na losy kraju, nie stanowiło siły politycznej,

---

[1]) M. Handelsman. Konstytucja trzeciego maja [r. 1791.] Warszawa 1907. Str. 13.

któraby wzięła na siebie inicjatywę jego wyzwolenia.

Co się tyczy mieszczaństwa, to ono było zbyt nieliczne i zarazem niejednolite, ażeby stanowić poważniejszą przeciwwagę dla rządów szlacheckich. Z tych wszystkich przyczyn rządy szlacheckie w Polsce wybujały daleko silniej i bezwzględniej, niż w innych krajach. Szlachta tedy ponosiła wyłączną odpowiedzialność za losy Polski.—Korzystając z olbrzymich przywilejów, pogrążyła się w zastoju i zabagniała coraz bardziej życie publiczne. Z rycerstwa stała się ziemiaństwem, chciwem życia i użycia, a coraz mniej zdolnem do obrony kraju od wroga. Jej wolność, oczywiście, stała się—swawolą. Skutkiem tego wynik był taki: słabość władzy wykonawczej, przeniesienie punktu ciężkości do sejmików, to jest do zgromadzeń szlacheckich w poszczególnych dzielnicach Polski, gdzie mało liczono się z ogólnemi interesami kraju, gdzie panowały tylko intrygi, kłótnie, wichrzenia z lada powodu, szczególnie z okazji wyboru króla. Rosja, korzystając ze słabości państwa polskiego, wtrącała się do wszystkich naszych spraw i gospodarowała, jak u siebie w domu.

Aż przyszedł cios ciężki i stanowczy—pierwszy rozbiór Polski w r. 1772. Ta klęska poruszyła wszystkie lepsze, szlachetniejsze żywioły i zmusiła do zastanowienia się nad sposobem naprawy Rzeczypospolitej. Myśl, że bez tej naprawy państwo polskie nie da się utrzymać, coraz więcej zyskiwała zwolenników. Za reformą była cała ówczesna inteligencja i drobna szlachta, która pragnęła kres położyć anarchji magnaterji. Do tych żywiołów szlacheckich przyłączyło się bogate mieszczaństwo, które życzliwie popierało szlachtę postępową.

Obradujący podówczas w stolicy sejm czteroletni, zwany wielkim, a raczej małe grono posłów postępowych, pragnących reform, wyzyskując okolicznościowe zdekompletowanie izby poselskiej, uchwaliło w dniu 3 maja 1791 r. nową Konstytucję, która otrzymała nazwę Ustawy rządowej 3 i 5 maja r. 1791. A partja arystokratyczna, zaskoczona tym „zamachem stanu“, protestowała gwałtownie.

Nowa konstytucja składała się z jedenastu artykułów. Pierwszy dotyczy religji, trzy następne określają stanowisko prawne szlachty, mieszczaństwa i chłopów; reszta opisuje władze rządowe: prawodawczą, wykonawczą i sądową.

Konstytucja, dążąc do utrzymania ładu i porządku w ustroju państwowym, usuwając swawolę szlachecką, istotnie wymierzona była przeciw magnatom polskim. Ale państwo miało pozostać organizacją nawskroś szlachecką, jego charakter stanowo-katolicki miał być w pełni zachowany.

Chłopów pozostawiono w dawnym stanie poddańczo-pańszczyznianym; mieli oni być bierną, niewolniczą masą. Jedyną rzeczą, którą zrobiono dla chłopów, było to, że, o ile obszarnik dobrowolnie zawarł z chłopami umowę co do czynszów, robocizny i t. p., to prawo stało na straży tej umowy. Innemi słowy, władza państwowa zobowiązała się tylko do

popierania tego, co obszarnicy dobrowolnie dla swoich poddanych uczynią. Nie było to więc żadną reformą społeczną, nie oznaczało żadnej zmiany w ogólnem położeniu chłopów. Tu właśnie najwyraźniej, najjaskrawiej uwydatnił się gruboskórny egoizm szlachty. Dobitnie stwierdzona została prawda, którą historja na każdym kroku wykazuje, że klasa uprzywilejowana nigdy z własnej inicjatywy i woli nie wyrzeka się swoich praw i przywilejów.

Lepiej powiodło się mieszczaństwu, ale bogatemu. Konstytucja nadała miastom samorząd, upoważniła mieszczan do nabywania ziemi i do zajmowania urzędów. Jeżeli szlachta zrobiła pewne ustępstwa mieszczaństwu, to należy tłumaczyć to tem, że nie zachodziła tutaj poważniejsza sprzeczność interesów. Szlachta potrzebowała pieniędzy mieszczańskich i w owych czasach zrozumiała już, że krajowi potrzebny jest rozwój przemysłu, że bez przemysłu nie rozwinie się należycie rolnictwo. Ale mieszczaństwo już przedtem, wzorując się na przykładzie Francji, gdzie w tym czasie (w r. 1789) wybuchła wielka rewolucja, niosąca wolność i władzę mieszczaństwu francuskiemu, zażądało praw dla miast, o czem świadczyła poważna jego manifestacja w postaci zjazdu w Warszawie 269-ciu przedstawicieli miast w listopadzie 1789 r.

Konstytucja 3-go maja nie wprowadziła zasadniczej zmiany do ustroju społecznego, nie usunęła bowiem ustroju stanowego. Władza miała i nadal pozostawać wyłącznie w rękach szlachty, zasilanej nieco przez bogate mieszczaństwo. Było to bardzo dalekie od demokracji. Co więcej, konstytucja nietylko, że nie dała praw politycznych szerokim masom włościaństwa i niezamożnego mieszczaństwa, ale odebrała je szlachcie ubogiej. W tem znalazły wyraz interesy szlachty średnio zamożnej, która w ten sposób osłabić chciała wpływ magnatów, kupujących głosy na sejmikach i werbujących sobie stronników. I tak mieszczanin biedny, robotnik, rzemieślnik, przekupień otrzymał tylko prawo nietykalności osobistej i opiekę prawa, bez praw politycznych. Chłop nie domagał się dla siebie praw, to też mu ich nie dano.

Pod względem religijnym, konstytucja również nie wprodziła zmiany gruntownej, nie wyszła poza uznanie tolerancji, nie dała równouprawnienia religijnego. Owszem, uznając religję katolicką za panującą, surowo zakazała przechodzenia z katolicyzmu na inne wyznania. Ponieważ olbrzymia większość szlachty była katolicką, więc zapewniono pierwszeństwo religji katolickiej.

Konstytucja majowa zniosła wolną elekcję [2]), ustanowiła

---

[2]) W dawnej Polsce króla obierała każdorazowo szlachta na specjalnych sejmach. Król był zatem tylko dożywotnim elektem szlacheckim, a nie dziedzicznym monarchą.

dziedziczny tron, zniosła liberum veto[3]). Ale magnaci, jak Szczęsny Potocki i Seweryn Rzewuski, niezadowoleni z zaprowadzenia dziedziczności tronu i konstytucji 3-go maja, udali się do Petersburga z prośbą o pomoc w obaleniu konstytucji. Spisali tam akt konfederacji generalnej wolnej koronnej, zawiązanej jakoby przez naród polski w miasteczku Targowicy, i błagali Katarzynę II o poparcie w przywróceniu wolności szlacheckiej. Rząd rosyjski opracował plan wtargnięcia wojsk carskich do Polski i przygotował deklarację z wykładem powodów tego czynu.

W deklaracji z dnia 18 maja 1792 r. zaznacza carowa, że sejm konstytucyjny obraził ją, jako gwarantkę i jako monarchinię sąsiedniego państwa. Ogłasza działalność sejmu za nielegalną i wskazuje szlachcie na to, że konstytucja jest zamachem na wolność, jest środkiem wprowadzenia monarchji nieograniczonej.

Dnia 19 maja 1792 r. wstąpiły w granice Polski pierwsze oddziały rosyjskie. Zaczynała się ostateczna walka z wrogiem, walka, w której Polska miała upaść. „Niedemokratyczność konstytucji trzeciego maja — jak słusznie zaznacza wybitny historyk polski M. Handelman w swej książce — zemściła się fatalnie. Trzeba było stworzyć silną armję, walkę uczynić masową, cóż kiedy masy nie stało. Nie wyzwolono chłopa w r. 1791, nie uczyniono zeń obywatela, nie dano mu ojczyzny. Rezulat wojny był dla chłopów rzeczą obojętną. Połowiczne usiłowanie uobywatelnienia chłopów, dokonane w obliczu wroga pod Połańcem, przyszło zapóźno. Polska upadła."

Widzimy więc, że konstytucja 3-go maja była uchwalona, ale pozostała na papierze martwą literą.

Nie mamy więc żadnego powodu do uczestniczenia w świętowaniu konstytucji trzeciego maja.

Franciszek Wiślany

---

[3]) Od połowy XVII wieku powstało w Polsce prawo zwyczajowe, że wszystkie uchwały sejmowe zapadać muszą jednogłośnie; każdy szlachcic, przeciwny uchwale, miał prawo krzyknąć „veto" („nie pozwalam"), by uchwałę unieważnić.

Wychowanie religijne w szkole powszechnej

(dokończenie)

Szerzymy w szkole wiarę w cuda, nic też dziwnego, że na wsi wciąż kwitną różne zabobony i inne cudowne rzeczy. Dzieci wiejskie do szkoły przynoszą wiadomości o tem, że żaba w nocy doi krowy, że „omętra" lata i świeci po polach,

a niedawno przyniosły znalezioną chustkę. W chustce tej znajdowały się dwa ręczniki, koszula, jakieś sznurki splątane i zwinięty, pięknie wyhodowany „kołtun“. Innym znów razem znalazły na drodze zakrwawioną chustkę, w czarodziejski (zmyśny) sposób związaną na 4 rogi, a w chustce tej było 15 gr., też dla jakichś tajemniczych celów krwią wysmarowanych. Dzieci, nie pytając nikogo, pobiegły zaraz z temi 15-ma groszami po cukierki, no i zaczarowane pieniądze w świat powędrowały; może razem z groszakami czary przejdą do kogo i ktoś inny zachoruje? Potem, nie myjąc rąk, dzieci oblizały cukierki i poszły do szkoły. W szkole słuchały o cudach w duchu religijnym, pomieszały wiejskie zabobony z kościelnemi, a umysł ich „wzmocnił się“ w wierze i doskonałości chrześcijańskiej.

Niech się pobożni panowie cieszą, że programy szkolne świetnie skutkują i oświata rozwija się na wsi. A że zabobony są na wsi, to nic szkodliwego — nauczycielstwo jest od tego, aby wyjaśniało „maluczkim“, w które zabony trzeba wierzyć, a które odrzucać.

Na jakiemś zebraniu oświatowem machnie się „pogadankę“ w duchu religijnym (konieczny warunek) i ludzie zaraz przestaną wierzyć w „kołtuna“, a zato silniej uwierzą w opłatek. Jak oświata, to oświata. Tu, panie tego, nie w kij dmuchał, tu się nową Polskę tworzy i niesie się oświaty kaganiec. Testament już jest napisany i to nie jeden, a dużo testamentów — tylko realizować je należy i to koniecznie w duchu narodowo-religijnym, bo inaczej... fora ze dwora. To też opowiadamy dzieciom „cudeńka“ według starego zwyczaju i zdaje nam się, że życie wciąż jest jednakowe, a tymczasem nawet dzieci szkolne kpią z naszych historyjek religijnych i traktują je nieraz jako zwykłe anegdotki.

Np. w kl. IV szkoły powszechnej uczeń streszcza czytankę o Jonaszu, którego ryba połknęła, a potem na brzeg wyrzuciła. Dzieci zastanawiają się, w jaki sposób potrafił on tak długo żyć w brzuchu ryby, krytykują głupotę Jonasza, że nie nosił on ze sobą nożyka, którym mógłby rozpłatać rybę i wcześniej wydostać się z tak niewygodnego mieszkania, wreszcie zastanawiają się nad tem, którędy Jonasz z ryby wyszedł. Następuje dyskusja.

— Którędy wlazł, tędy wylazł — decyduje jeden z uczniów.

— A nie — sprzecza się drugi — bo ryba nosiła go trzy dni, a potem się okociła.

Klasa wybucha śmiechem. Przerywam ich radosny nastrój i mówię surowo, że tu się stał cud, więc my nie możemy roztrząsać tego zwykłym rozumem i mamy obowiązek wierzyć w to bezwzględnie, bo tak nakazuje pismo święte i kościół rzymsko-katolicki.

— A czy pani widziała kiedy cud? — pyta jeden z uczniów.

— Ja nie widziałam, ale byli tacy, którzy widzieli — odpowiadam w duchu religijnym.

— Jak pani nie widziała, to dlaczego pani uczy o cudach? — poucza mnie 12-letni smarkacz.

— Dlatego, że tak trzeba, jak będziesz starszy, to zrozumiesz — odpowiadam na odczepne.

— Cuda zawsze są gdzieś daleko, a nigdy u nas — ironizuje malec.

— To jedź do Ameryki, a może zobaczysz cud — odpowiadam, starając się nie tracić panowania nad sobą i polecam następnemu dziecku czytać dalszy ciąg historyjki o Jonaszu. Pocieszam się, że chociaż dzieci nie wierzą w cud Jonaszowy, to przynajmniej na lekcjach religji nauczą się lepiej czytać — dobre i to na dzisiejsze czasy.

Na innej znów lekcji religji w V-ej kl., gdy była mowa o papieżu, sympatyczny uczniaczek oświadczył, że papież ma aż 16 dzieci. Nie wdając się w żadne dyskusje i przekonywania, zabroniłam dzieciom w szkole rozmawiać o takich rzeczach, obiecałam dać „niedostateczną" ocenę z religji i dzieci teraz starają się odpowiadać pobożnie i obłudnie. Tak więc lekcje religji zamiast umoralniać młodzież, stają się źródłem obłudy, bo dzieci wobec dorosłych nie wyjawiają swoich wątpliwości na tle religijnem, zato między sobą prowadzą rozmowy na ten temat.

Uczymy w szkole moralności katolickiej, a rezultatem tego jest brak wszelkiej moralności, bo katolicka moralność nie wystarcza już dzisiejszej młodzieży i służy najwyżej do celów oportunistycznych. Nie widziałam jeszcze takiego wypadku, żeby któreś z dzieci szkolnych przestało źle czynić dlatego, że bóg zabrania i tylko ktoś bardzo naiwny mówi do dziecka w ten sposób: Nie obrywaj, dziecinko, nóżek muszkom, bo bozia się gniewa. Jeśli dziecko posłucha i przestanie męczyć muchy, to czyni tak dlatego, że żąda tego wychowawca, a bozia mogłaby sto razy prosić i nicby to nie pomogło. Tak samo w imieniu boga wychowawca może żądać od dziecka złych uczynków i dziecko je również wykona. Tak w pierwszym, jak i w drugim wypadku dziecko działa pod wpływem ludzi, a bozia jest to tylko ofiarą, nadużywaną dla celów osobistych.

Weźmy, naprzykład, taki wypadek z życia szkolnego. Bije się dwóch chłopców: Stasiek i Bronek i cała klasa jest tem zainteresowana. Naturalnie, każdy z bijących się ma swoich stronników. Następuje potem dyskusja na temat bójki i dzieci kolejno wygłaszają swoje opinje. Czy dobrze jest bić się? Dzieci dają różne odpowiedzi: 1. Źle, bo krew idzie z nosa i można podrzeć ubranie. 2. Źle, bo niewiadomo, kto wygra. 3. Źle, bo za to starsi krzyczą. 4. Ale wesoło jest bić i nikt potem nie zaczepia. 5. Jak kto zacznie, to musowo mu

oddać, żeby sobie nie pomyślał, że się go kto boi. 6. Bić się jest źle, ale wesoło jest przyglądać się biciu. 7. Jak się nie bić, to się przykrzy. 8. Źle jest bić się, bo to grzech. Tak więc klasa podzielona jest na stronników i przeciwników walki. Ostatecznie większa część dzieci teoretycznie potępia bójki, bo można niechcący zabić kogo albo skaleczyć. Skoro bójki są potępione, to ci, którzy je rozpoczynają, powinni być ukarani — tego domagają się dzieci.

Kto w tym wypadku zawinił? Najlepiej wiedzą to same dzieci. Zaczął Stasiek, bo on zawsze zaczyna niesprawiedliwie. Argumentów i pretensyj przeciwko Staśkowi rośnie cała góra. A tymczasem winowajca milczy i ma ochotę rzucić się z pięściami na całą gromadę, ale wie, że nie da rady, więc szuka odpowiedniego argumentu, któryby mu pozwolił zapanować nad rówieśnikami i wychowawcę przyciągnąć na swoją stronę. Wreszcie znajduje i ogłasza triumfująco:

— A Bronek przed krzyżem czapki nie zdjął i ksiądz go zato beształ.

Właściwie chłopcy bili się dla przyjemności, w celu wyładowania energji, ale Stasiek oskarża kolegę, bo chce teraz występować w roli obrońcy krzyża i w ten sposób zmusić otoczenie do uznania jego przewagi. Stasiek jest jeszcze mały i nie robi tego świadomie, ale instynktownie czuje, że pod skrzydłami religji może ukryć i pielęgnować swoje złe nałogi. Tak więc religja staje się parawanem dla tych osobników, którzy niebardzo się liczą z prawem ogólnem. Umyślnie przytaczam to zdarzenie ze szkolnego życia, żeby wskazać, jak nauczanie religji wpływa na dziecinne środowisko. Właściwie, tak dzieci, jak i dorośli biorą z religji to tylko, co dla nich w danej chwili jest wygodne, bo łatwiej jest spuszczać pobożnie oczy i pomstować na heretyków, niż stosować w życiu zasady ewangeliczne. Zresztą w religji katolickiej jest tyle boskich prawd, że każdy religijny osobnik znajduje w nich usprawiedliwienie swych postępków — wystarczy tylko znaleźć odpowiedni rozdział jakiej pobożnej książki, albo zwrócić się do upatrzonego spowiednika, a ten usprawiedliwi nas zgodnie z naszą wolą, najwyżej tylko każe odmówić „na pokutę“ 5 pacierzy i sprawa skończona. Grzechy przeciwko świeckiej moralności pobłażliwie są traktowane przez duchowieństwo, ale zato wyolbrzymione są najmniejsze uchybienia przeciw kościelnym prawom.

W takiej to atmosferze wychowujemy młodzież, w szkole powszechnej narzucamy jej religijność kościelną, a potem domagamy się silnych charakterów i innych pięknych rzeczy, których religja katolicka dać nie może. Gdyby religja katolicka wpływała umoralniająco na swoich wyznawców, to przedewszystkiem duchowieństwo katolickie odznaczałoby się wysokim poziomem moralnym — a wiemy wszyscy doskonale, jak wygląda moralność księży. A może religja katolicka inaczej wpływa na młodzież?

Przyjrzyjmy się tym uczniom, którzy w szkole powszechnej przez całe siedem lat uczyli się religji katolickiej.

Jakie pojęcia o moralności zdobyli oni, ucząc się religji? Wiedzą, że w piątek nie wolno jeść mięsa, że co niedziela trzeba wysłuchać mszy, że w poście i w adwencie należy się spowiadać i komunikować we własnej parafji albo w innej za zezwoleniem własnego pasterza, wiedzą także, że bez chrztu i bez łaski boskiej nikt nie może być zbawiony. Wszystkie te katolickie wiadomości sprawiają, że młodzież, która ukończyła szkołę powszechną, nie odróżnia się niczem dodatniem od tej młodzieży, która nie miała szczęścia chodzić do szkoły. Ci, którzy skończyli szkołę i ci, którzy nie skończyli, jednakowo odnoszą się do wszelkich przejawów życia — takie same mają pojęcia moralne, takie samo przeczucie wyższości wobec niekatolików i tak samo kradną.

Szkoła więc, dzięki religji, nie wnosi do życia wsi nic nowego, nie walczy z przesądami i nie wskazuje młodzieży nowych dróg. Uczymy młodzież czytać, pisać i rachować, staramy się o wychowanie katolickie i państwowe, a pozatem nic innego młodzież od nas nie słyszy. A przedewszystkiem odczuć się daje brak szczerości w wychowaniu i nic dziwnego, że młodzież na to reaguje również obłudą. Na dowód przytoczę następujący fakt.

Pewien chłopiec doskonale uczył się religji, rozumował jak wytrawny katolik, a z heretykami nie miał nic do czynienia, bo i rodzice jego należą do wiernych katolików. Nauczycielem jego był twardy katolik. Chłopiec ten pasł krowy i widocznie z nudów rozmyślać zaczął o tem, co słyszał w szkole na lekcjach religji. Zachciało mu się, jak Mojżeszowi, zobaczyć boga w płonącym krzaku i używał różnych zaklęć, które nic nie pomagały. Chłopiec wtedy, korzystając z tego, że nigdzie nie było widać świadków, wlazł na drzewo, znalazł grubą gałąź i stanął głową na tej gałęzi, a równocześnie drwił z boga: — Jeśli jesteś, boże, to zrób, żebym spadł. Eksperyment ten powtarzał kilkakrotnie, aż wreszcie zlazł z drzewa i oświadczył triumfująco: — A widzisz, niceś mi nie zrobił, bo ciebie wcale niema.

Zdawałoby się, że po tej poufnej rozmowie z p. bogiem chłopiec ten stanie się jakim walczącym bezbożnikiem, ale gdzietam, nic podobnego potem się nie stało. Chłopiec ten potem w dalszym ciągu chodził do kościoła, do spowiedzi, przyjmował komunję, naturalnie księdzu na spowiedzi nie opowiadał swoich wątpliwości, bo nie dostałby rozgrzeszenia, a zresztą nie spodziewał się, że ksiądz mu pokaże boga. Ten sam chłopiec z pogardą odnosił się do żydów, bo oni nie są katolikami, a on jest katolikiem.

Takich katolików wśród młodzieży wiejskiej jest bardzo dużo. Czytamy w pismach codziennych o morderstwach i kradzieżach na wsi. — Przecież młodzież wiejska wychowana jest po katolicku, z heretykami nie ma najmniejszego kon-

taktu, dlaczego więc kwitną wśród niej morderstwa, kradzieże i inne występki?

Dlaczego najbardziej moralną jest tylko ta część młodzieży, która zerwała z katolicyzmem, nprz. „wiciowcy”.

Na naukę religji w szkole powszechnej poświęca się wiele czasu i pieniędzy, bo chodzi o to, żeby chłop był religijny i nie rzucił się z nożem na „panów“.

Podobno powstrzymuje go w tych dążeniach religja katolicka.

Dziwna rzecz, pomimo katolickiego wychowania, tak hojnie szafowanego przez kościół, szkołę i pisma katolickie, na wsi aż roi się od złodziei, a wieczorem nie przejdzie ten spokojnie, kto nie ma mocnej pały. Katolik katolikowi kradnie i katolik zabija katolika — a przecież katolicyzm u nas triumfuje i wszystko jest katolickie i religijne — wszyscy unikają w piątek mięsa i kilka razy na rok chodzą do spowiedzi.

Pod skrzydłami niepodległej Polski rozwija się kościół wojujący i triumfujący, pod skrzydłami kościoła kryją się najwięksi egoiści, a rezultat...

A no, im dłużej będzie trwało w Polsce „wychowanie religijne”, tem większa będzie „doskonałość”, do której tak ogromnie wszyscy dążą, że aż tym panom religijnym coraz większe brzuchy rosną.

Nauczycielka

Z listów do redakcji

Jak utraciłem wiarę katolicką

(dokończenie)

Miałem jeszcze jeden kłopot z powodu moich przekonań, a to na ostatnim egzaminie na świadectwo dojrzałości.

Za moich czasów (kończyłem gimnazjum w roku 1876) „nauki” religji uczył nas ks. Stojałowski, autor jakiegoś małego katechizmu. Ponieważ w tym czasie religja była uważana za przedmiot drugorzędny, tak, że nawet z niedostatecznym stopniem można było przejść do klasy wyższej, więc i katecheci byli skromniejsi. Ale ks. Stojałowski był spokojnym już z natury, unikał nieporozumień i nawet przez palce patrzył, że uczniowie odnoszą się do religji obojętnie. Lubił przez małą lunetkę, którą miał w domu, oglądać „ciała niebieskie”, więc uważany był trochę za filozofa, trochę uczonego, nawet astronoma. Miał jednak tę słabostkę, że chciał, by uczniowie z religji mieli dobre stopnie, które stawiał bardzo łatwo. Najwięcej chodziło mu o to, by uczniowie na ostatecznym egzaminie mieli stopnie celujące. Żeby to osiągnąć, naznaczał każdemu uczniowi pytanie specjalne i na egzaminie

słuchał nie z tego pytania, które uczeń wyciągnął, lecz z tego, które miał zapisane w notesiku, o czem nauczyciele asystenci przy egzaminie nie wiedzieli.

Trzeba trafu, że mnie dostało się jakieś zawiłe pytanie, tak bardzo niezgodne ze zdrowym rozsądkiem, poprostu jakieś bzdury, że na egzaminie poplątałem najfałszywiej różne „ważne” sprawy, tak, że cała klasa, a i asystenci uśmiechali się, a oburzony poczciwina nazwał mnie parszywą owcą i kazał iść na miejsce. Myślałem, że dostanę „pałę” t. j. niedostateczny, ale nie mógł tego przenieść księżyna i postawił dostateczny. Przykro mi było, że zepsułem mu statystykę.

Wiara stała się zupełnie obojętną, a nawet śmieszną.

Chodziło mi o bezwzględną prawdę.

Całości wierzeń nadprzyrodzonych uznać nie mogłem.

Niewiara przyszła łatwo, bez silnych walk. Nie przechodziłem przez walkę i zmuszanie się, aby wierzyć w to, czemu sprzeciwiał się rozum.

Do zachowania wiary nie skłaniały mnie żadne powody.

Po odrzuceniu wiary miałem uczucie nadzwyczajnej ulgi, jakby zrzucenia jakiegoś ciężaru, podświadome uczucie panowania rozumu, jakiejś dziwnej wolności, niezależności i samodzielności (otoczenie nazywało to poczucie bezwzględnej prawdy zarozumiałością i brakiem tolerancji).

Pozbywszy się wiary, utrwaliłem tylko przekonania wysione z domu, że powinniśmy postępować moralnie dla ogólnego dobra z zasady, a nie dla nagrody w tem czy przyszłem życiu.

Żadne powody nie wpływały na zachowanie wiary. Natomiast wiele za jej odrzuceniem.

Cała historja Polski i powszechna usposabiała wrogo wobec zachłanności kleru. Pisarze polscy dawni i późniejsi, jako antyklerykalni, usposobiali bezapelacyjnie wrogo do wtrącania się kleru w życie narodu. Wstrętne służalstwo dla zaborców dopełniło reszty.

Mojej utracie wiary zaczęły towarzyszyć myśli, jeszcze w gimnazjum, że jeśli religja uczy rzeczy nieprawdziwych, zmyślonych wskutek niewiedzy, trzeba pchać naukę naprzód, objaśniać. Odczuwałem potrzebę wyjaśniania prawdy, ogarnęło mną jakby „apostolstwo” bezwzględnej prawdy.

Pamiętam przykrą rozmowę w rodzinie. Z powodu moich radykalnych występów, jeden z krewnych, starszy pan, bardzo w rodzinie poważany, chcąc mnie ostatecznie zgnębić powiedział: — „Gdybym ja nie wierzył, to byłbym złodziejem!”... — A ja nie, odpowiedziałem spokojnie, ja bym nie był złodziejem nietylko za jedno królestwo niebieskie, ale nawet za dziesięć. My jesteśmy uczciwi z zasady, bo rozumiemy szkodliwość nieuczciwości dla społeczeństwa, a wy tylko ze strachu, albo dla nagrody. Co się dalej stało lepiej nie pisać.

Byłem wówczas kandydatem do wstąpienia do uniwersytetu, mając lat 18.

Po otrzymaniu matury wyjechałem w czasie wakacyj na kilka tygodni do bliskich krewnych Niemojewskich, albowiem Józefa Niemojewska, z domu Noskowska, była siostrą mej matki. Mieszkali wówczas w swojej wsi Rokitnicy, powiatu zdaje się rypińskiego. Gorliwi wyznawcy Towiańskiego prowadzili dom nadzwyczaj patrjarchalnie, tak, że w rodzinie nazywano ich „Piast i Rzepicha".

Nie przeszkadzało to jednak, że dom cały wrzał życiem i było bardzo wesoło, ponieważ Niemojewscy mieli dwóch synów i pięć córek, z których dwie starsze były to już „panny na wydaniu". Po tych dwóch starszych córkach następował starszy syn — Andrzej, jeszcze w szkołach (nie pamiętam gdzie) o parę lat młodszy odemnie.

Przebywała też u Niemojewskich nasza „babcia" po linji żeńskiej, Amelja Noskowska. Kobieta inteligentna, cała oddana kultowi Towiańskiego, silnego charakteru, lubiła opowiadać o swojej korespondencji z Mickiewiczem, ale bardzo despotyczna, nie znosiła opozycji, prawdziwa „hic mulier". Cały dom korzył się przed nią, złączony wspólnym kultem. Andrzej Niemojewski otrzymał imię Towiańskiego, a syn Towiańskiego Adam wychowywał się od wczesnej młodości w rodzinie Noskowskich w Warszawie. Babkę scharakteryzował później Andrzej w „Myśli Niepodległej" w artykule — „Dwie babki".

Jako cioteczny brat i już „maturzysta", otoczony byłem gościnną opieką panien, panienek i chłopców. Panienki znosiły kwiaty i owoce, co dawało powód do rozmów z zoologji i botaniki, [które bardzo lubiłem, a wieczorne spacery wywoływały rozmowy o księżycu, gwiazdach i t. p. Tylko rozmów bezbożnych unikałem starannie, żeby nie „zgorszyć maluczkich".

Zdarzyło się, że na rozmowę o prędkości światła, o wyliczeniach astronomów odległości gwiazd i t. d. nadeszła „babcia".

Przysłuchiwała się spoczątku z pobłażliwym uśmiechem; prędko jednak spoważniała i, z nieznoszącym oporu autorytetem, powiedziała: „Niech oni sobie mówią co chcą, j a jednak im nie wierzę". — To nic nie znaczy czy babcia im wierzy, czy nie wierzy, bo oni i tak będą robić swoje... Twarz babci zmarmurowiała, a obecnych zmartwiały... Nadzwyczajnych konsekwencyj jednak nie było. Ale okazało się, że młodsze pokolenie, w tajemnicy, całkiem było po mojej stronie i rade, że się „babci" dostało. Przełamało to ostatecznie ceremonjalność, a Andrzej Niemojewski nie dawał mi spokoju i przez kilkotygodniowy czas mego pobytu rozmawialiśmy z całą swobodą o sprawach religijnych i przyrodniczych, prowadząc dyskusje z całym młodzieńczym temperamentem.

Po utracie wiary spełniałem tylko te obrzędy religijne,

do których zmuszała mnie konieczność, zawsze odczuwając, że czyni mi się niesprawiedliwy przymus. (Przymus chrztu dzieci).

Nawrotów wiary nie miałem.

Ostateczny wpływ na ustalenie mych poglądów realnych zawdzięczam naukom przyrodniczym i wogóle nauce.

Nie pamiętam, by na przełom religijny miał wpływ mój rozwój fizyczny; zdaje mi się, że już wcześniej, przed rozwojem fizycznym, nauki przyrodnicze zrobiły swoje, o czem pisałem wyżej.

Przełom religijny nastąpił szybko i radykalnie. Postępowanie moje było zawsze stanowcze, bez wahań, bo oparte na wiedzy realnej.

Po utracie wiary uczułem się nadzwyczaj wolnym, swobodnym, niezależnym. Rozwinęło się pragnienie wiedzy, świadomości coraz więcej i więcej. Poczucie wewnętrzne, że można się na świadomości oprzeć, dawało poczucie mocy i pewności siebie. Jeżeli jakąś kwestję możliwą można było podciągnąć pod odpowiednie prawa natury, dawało to podświadomą, moralną pewność, że tak właśnie być powinno. Dawało to tę moc, to moralne zadowolenie, jakie tylko świadomość dać może.

Ta potrzeba coraz większej świadomości, tyczącej się nietylko nauki oderwanej, ale i społecznej, wpłynęła na oddanie się nauce socjalizmu, który w tym czasie zaczął się rozwijać w Polsce pod wpływem Waryńskiego, Mendelsona i innych. Tę chęć spełniania służby społecznej zawdzięczam tylko utracie wiary. Poznanie socjalizmu odbyło się już na pierwszych kursach Uniwersytetu.

Józef Czaki

Kronika

Obce agentury działają. Ewangelicy w Polsce czynili starania, aby wolno im było nadawać nabożeństwa za pośrednictwem „Polskiego Radja". Na to otrzymali oficjalną odpowiedź, że „Polskie Radjo" nie może nadawać tych nabożeństw „ze względu na konkordat", zawarty z Watykanem. Poprostu wierzyć się nie chce, aby coś podobnego mogło się dziać w państwie suwerennem, o którem się ciągle mówi, że jest mocarstwem, że posiada silny rząd, który stoi na straży interesu państwowego. Powyższa decyzja jest pogwałceniem konstytucji, która wyraźnie stanowi, że wszystkie wyznania w Polsce, uznane przez państwo, są równouprawnione. Widocznie konstytucja w Polsce jest tylko na papierze, w życiu zaś nie stosuje się jej niektórych przepisów, zwłaszcza tych, które mówią o prawach obywateli.

Jesteśmy przeciwnikami nadawania nabożeństw wszelkich

wyznań przez radjo oraz nauczania religji w szkołach, bo od tego są kościoły. Jednak fakt odmówienia ewangelikom nadawania dla nich audycyj radjowych, z czego korzysta obficie wyznanie watykańsko-katolickie, świadczy, że władze państwowe w Polsce odmawiają, wielu obywatelom praw właśnie ze względu na ich wyznanie, co jest sprzeczne z postanowieniami konstytucji, oraz że traktują ich jako obywateli drugiej klasy również wbrew postanowieniom konstytucji. Takie traktowanie obywateli nie leży w interesie państwa, stwarza bowiem grupy obywateli pokrzywdzonych, niezadowolonych, odnoszących się nieufnie do władz i państwa, o którego interesach deklamuje się zawsze i wszędzie, a w praktyce postępuje się inaczej.

Konkordat nie zawiera żadnych postanowień, dotyczących audycyj radjowych dla ewangelików. Tłumaczenie się więc konkordatem jest tylko wybiegiem ludzi, którzy zapomnieli, że Polska rządzi się konstytucją a nie postanowieniami konkordatu, którzy podporządkowali konstytucję państwa suwerennego umowie z międzynarodową organizacją wyznaniową, którzy nie mają dość cywilnej odwagi, aby przeciwstawić się naciskowi agentów tej organizacji. Odmowa nadawania audycyj radjowych dla ewangelików jest świadectwem, że w Polsce ciemne siły, będące na usługach Watykanu i państwa watykańskiego, wywierają silny nacisk na władze państwowe, aby postępowały w interesie watykańskiej kasty kapłańskiej, chociaż to postępowanie jest sprzeczne z konstytucją polską, godzi w interesy państwa i podporządkowuje je interesom obcego państwa.

„Polskie Radjo" jest przedsiębiorstwem państwowem. Jest rzeczą konieczną, aby p. Minister Poczt i Telegrafów, który sprawuje nadzór nad tem przedsiębiorstwem zainteresował się sprawą i zniszczył szkodliwe wpływy obcych agentur.

Pod kuratelę Watykanu! Watykańsko-katolicka młodzież akademicka w Polsce urządza sobie 24 maja r. b. pielgrzymkę do Częstochowy, gdzie przed obrazem „matki boskiej" złoży ślubowanie i obierze ją swoją opiekunką. Oczywiście prasa klerykalna i endecka reklamuje mocno to przedsięwzięcie, przytem fałszuje faktyczny stan rzeczy, twierdząc, że chodzi tu nie o katolicką, lecz polską młodzież akademicką. Przyzwyczajeni jesteśmy do większych nieścisłości, popełnianych przez kler watykański z Kaprusią na czele. Ks. bp. Szlagowski zwrócił się do społeczeństwa polskiego (zamiast do katolickiego), aby dało pieniędzy na koszta tej imprezy watykańskiej. Niewiadomo, dlaczego nie zwróciło się do „Niepokalanej", która tak obficie zasila „Rycerza niepokalanej". Podczas ślubowania mają być złożone kosztowne, bo zrobione ze złota i pereł, wota. A więc powiększa się majątek Watykanu, posiadającego olbrzymie bogactwa, a dzieje się to w chwili, kiedy ludność w Polsce żyje w nędzy, kiedy dzieci

chodzą głodne i obdarte, kiedy wzrasta analfabetyzm wskutek braku szkół, kiedy państwo odrzuca wielu poborowych z powodu niedorozwoju fizycznego... Inicjatorów pielgrzymki to nie wzrusza, oni mają na widoku interes Watykanu i swej kasty. Ale tego im mało i dlatego usiłują nakłonić władze państwowe i wojsko, aby wzięły udział w manifestacji watykańskiej.

O co chodzi klerowi watykańskiemu — powiedział szczerze „Rycerz niepokalanej“ (Nr. 5), który, zaznaczając, że „Polska w wielu jeszcze dziedzinach szuka nowych właściwych sobie dróg, szuka wielkiej myśli dziejowej...“, pisze: „Trzeba jednak pamiętać, że jakakolwiek ta polska idea przewodnia będzie, musi to być idea katolicka“. Bo tego żąda Watykan i jego agenci w Polsce. Szczere to wyznanie „Rycerza“ nie jest rzeczą nową. Już ks. Choromański uzasadniał przed kilkoma laty, kiedy papieska komisja „Pro Russia“ prowadziła w Polsce akcję antypaństwową, że Polska powinna dostosować swoją rację stanu (interes państwowy) do potrzeb Watykanu, chociaż z historji wiadomo, iż przynosiło to państwu polskiemu nieobliczalne szkody polityczne. Ale i to jest bez znaczenia dla watykańskich katolików i agentów Watykanu, bo, jak powiedział jezuita Skarga, jeżeli ojczyzna ziemska zginie — przy wiecznej się ostoim.

„Rycerza“ możemy zapewnić, że jeżeli ta idea będzie katolicka, to Polska pójdzie śladami Meksyku i Hiszpanji. I dopiero, gdy ludność katolicka zbuntuje się, podobnie jak w tych krajach, przeciwko rządom totalnego (wszechmocnego) kleru watykańskiego, działającego w interesie Watykanu i państwa watykańskiego, państwo polskie odrodzi się z upadku. Ale Polski, ze względu na jej położenie geograficzne, nie stać na szkodliwe dla niej i niebezpieczne eksperymenty watykańskie.

O tem musi pamiętać każdy obywatel polski, nawet jeżeli jest wyznania watykańsko-katolickiego.

Z prasy

Propaganda komunizmu. *„Polska zbrojna”* napisała o Rosji sowieckiej m. in. co następuje:

„Jednak — wbrew niektórym twierdzeniom — czerwona armja bynajmniej nie jest „oderwana od swego społeczeństwa”, lecz odwrotnie: jest z niem bardzo ściśle związana, o wiele ściślej, aniżeli dzieje się to w szeregu państw „burżuazyjnych”.

„Z punktu widzenia moralnego należy zdać sobie sprawę, że ustrój gospodarczy Z. S. R. R. wyklucza nadzwyczaj bolesną dla walczącego żołnierza możliwość bogacenia się poszczególnych jednostek na dostawach wojskowych, uniemożliwia panoszenie się wojennego paskarstwa i hulanki na tyłach...”.

Co na to brukowiec krakowski I. K C., bratni organ niesławnej pamięci „Tajnego detektywa“, co na to ks. Kaczyński i jego osławiona Kaprusia? Dlaczego nie oskarżają „Polski zbrojnej“ o propagandę komunizmu, dlaczego nie apelują do prokuratora i policji? Przecież tu chodzi już nie o teatr dla dzieci lub Dnieprostroj, jak w „Płomyku“, lecz o armję sowiecką i... o przychylną ocenę sowieckiego ustroju gospodarczego z punktu widzenia moralnego. A nuż, „nie daj boże“, podobne reformy zostaną wprowadzone w Polsce, to straci na tem bogojczyźniane paskarstwo zarówno wyznania watykańskiego jak i mojżeszowego, tak miłe I. K. C-usiowi i Kaprusi.

Brukowiec krakowski nie będzie oskarżał „Polski zbrojnej“ o komunizm, a Kaprusia nie będzie mu wtórowała, bo tu nie da się zrobić interesu, nie da się zarobić.

Z książek

Wyszło z druku, jako odbitka z „Wolnomyśliciela Polskiego“ znakomite dziełko p. Fortado p. t.

Pyrrhusowe zwycięstwo rabinów w sprawie uboju rytuaalnego, czyli „szechita“ w świetle talmudu *).

Każdy wolny myśliciel winien poznać treść powyższej pracy.

Walka o wprowadzenie u nas uboju humanitarnego zamiast pełnego przesądów religijnych nieludzkiego zabijania zwierząt jadalnych nie jest zakończona. Należy dążyć, aby światła część polskiego i żydowskiego społeczeństwa poznała istotną treść sprawy ze stanowiska naukowego objektywizmu, czyli z dokumentami w ręku, czego też autor powyższej pracy, wybitny pisarz i świetny znawca judaizmu, w sposób dosadny i dostępny dokonał.

Praca winna rozejść się z dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, a wolni myśliciele polscy winni wpływać przez nią na to „dobrej woli“ środowisko żydowskie, któreby rade we własnych szeregach pójść w ślady walczącej o myśl wolną ludzkości. — Należy mu nazawsze wskazywać drogę w tej i podobnych sprawach a poprzez nasze wydawnictwa w walce dopomóc.

*) Cena 30 gr., przesyłka 15 gr. — do nabycia w administracji naszego pisma—po nadesłaniu **zgóry** należności przez P.K.O. 14200 (konto Wolnomyśliciela Polskiego).

PRENUMERATA „BŁYSKÓW“ (bez „Wolnomyśliciela Polskiego“)

Za 1 egz.	rocznie	zł. 2.40	Za 10 egz.	rocznie	zł. 18.—
„ 5 „	„	„ 10.—	„ 10 „	półrocznie	„ 9.—
„ 5 „	półrocznie	5.—	„ 10 „	kwartalnie	„ 4.50

10 egz. zagranicą zł. 2.40 mies. lub zł. 28.— rocznie.

Prenumer. „Przyszłość—to my“: rocz. zł. 2, półrocz, zł. 1. numer pojed. 20 gr.

Adres **Redakcji i Administracji:** Warszawa, Królewska 16, tel. 218-14.
Konto czekowe w P. K. O. „Wolnomyśliciela Polskiego“ Nr. 14.200.

Redaktorka **Zofja Żurkówna** Wyd.: **Spółka „Wolność“ z ogr. odp.**

Druk. Wydawnicza, Kacza 15, tel. 603-46.